

RELACJA RYSZARDA MICHAŁCZYKA.

Zam. Łódź ul. Kōlińskiego 31/I6. (inne dane ma Kōńcin)

Urodziłem się 1 listopada 1928r. w Szczuczynie niedaleko Grajewa przy granicy z Prusami Wschodnimi. Ojciec mój, były legionista, od 1920r. służył w Straży Granicznej, pochodził spod Bochni z krakowskiego. Matka pochodziła spod Suwałk za Rajgradem, ojciec pełnił tam służbę, tam się poznali i tam pobrali się. W 1935r. przenieśliśmy się do Grajewa i tam mieszkaliśmy do wybuchu wojny. W roku 1939 ukończyłem cztery klasy szkoły podstawowej do klasy piątej nie poszedłem, ponieważ wybuchła wojna. W chwili wybuchu mieliśmy jechać do wuja za Rajgrad, matka tam pojechała, a my z ojcem nie zdążyliśmy, ponieważ rozpoczęła się wojna. Ja z ojcem przez cały okres trwania działań byliśmy w taborach koło Grajewa. Kiedy Niemcy zajęli te tereny ojciec przeszedł z wojskiem na Łotwę, a my wróciliśmy do domu. Ojciec wrócił do nas w marcu 1940r. Po dwóch tygodniach przyszło do nas NKWD i zabrano ojca i od tej pory nie wiadomo było, co się z nim stało.

13. 04. 1940r. te rodziny, które były podejrzane, były wywożone. Również do nas przyszli w nocy i nas zabrali. Załadowano nas do dużego transportu, wagony nie były przystosowane do przewozu ludzi, były tam tylko prycze, brak było ogrzewania i ubikacji. W takim wagonie było osiem rodzin, z nami jechała rodzina robotnicza, ojca im również aresztowano, była to duża dziesięcioosobowa rodzina. W ten sposób jechaliśmy aż do przedwojennej granicy Polski. Tam nas przesadzono do wagonów, gdzie były już pewne warunki do przewozu osób, tzn. był "kojciec" do załatwiania się i był również piecyk do ogrzewania. Wagonów nie można było opuszczać, były pozamykane od zewnątrz, a okienka zadrutowane. Co trzy wagony był wartownik, on otwierał i zamykał wagony. Do jedzenia nic nam nie dawano, tylko gorącą wodę. Polacy spodziewając się tego, zaopatrzyli się w suchary. W ten sposób całą trasę przeżyliśmy na tym, co zabraliśmy z domu. Podróż trwała ponad miesiąc jechaliśmy za Ural na Omsk nad Obem, za Omskiem pojechaliśmy na Pawłodar. W Pawłodarze czekały na nas samochody, które zawiozły nas do tzw. centrali jakby gminy i z tej gminy przez cały dzień porozwozili rodziny po kołchozach i sowchozach w Kazachstanie. Moja rodzina wraz z innymi z tego transportu znalazła się w "Ekibastuz" ^{dziś to centr. rejonu} ~~Ekibastuz~~ ^{Kuibyszewo} miasno, młóczni sawchoz, kujbyszewski rajon, ferma nr I". To była spółdzielnia produkcyjna. Rosjan, oprócz jednej rodziny, która prowadziła sklepik, tam nie było. Byli tam sami Kazachowie. Na tej farmie było pięć stad krów, jedno stado miało ok. 400 sztuk, oprócz tego były tam też stada owiec i koni. Polacy zajmowali się hodowlą. W Kazachstanie budowano z darniny, Polacy zaczęli budować na wzór europejski - z trawy i gliny, zaczęli też wprowadzać hodowlę trzody. Jak tam pojechałem, zostałem zatrudniony jako pomocnik dojarki, ponieważ tam nie dojeżdżono w taki sposób jak w Polsce. Młodego cielaka nie odstawiano od razu od krowy, Polacy od razu to zmienili, aby łatwiej było doić, tzn. cielaka

karmiono oddzielnie. Na początku matka i moja starsza siostra (ur. 1925 r.) zajmowały się na tej bazie hodowlą tych cieląt. Mieszkaliśmy tam trzy lata do 1943 r.

Klimat tam jest zupełnie inny niż u nas, nie ma wiosny, po ziemi od razu robi się lato. Od maja koczują z całym dobytkiem na stepach. Pędzą bydło jak najdalej, aż na podgórze mongolskich gór a następnie etapowo w miarę wypasania zbliżają się do bazy (farmy). Ja z matką i siostrą koczowaliśmy razem z nimi. W tym czasie nie żyło nam się źle, dopiero na przedwiośniu roku 1944 wyrzucono nas stamtąd, ponieważ nie było co jeść. Uprawiano tam dużo prosa a Polacy dokonywali orki, ja byłem tam przy tej orce dopiero w ostatnim roku (1945). Do 1945 cały czas przebywałem z Kazachami (koczowałem). Kilka kilometrów od bazy były sterty wymłóconego prosa, ale pod spodem było jeszcze ziarno. Razem z bratem poszliśmy tam, aby coś nazbierać i trafiliśmy na magazyn na siew, tam było już proso przygotowane. Wszedłem więc przez okienko do tego magazynu i wzięliśmy sobie z bratem ok. 10 kg tego prosa. Niestety wtedy była dobra pogoda i Kazachowie na koniach wyśledzili nas po śladach na śniegu (to był marzec 1944 r.). Brata zabrali do więzienia i na pewno zesłaliby go na Syberię gdyby nie jeden znajomy Kazach, który wykradł brata z więzienia. Nas za to przeniesiono do "karabałaku" (czarny barak) gdzie mieszkali Polacy. Był to barak budowlany z darniny (płaski dach) w jednym pokoju mieszkały cztery rodziny. Ponieważ język ich znałem lepiej niż polski to zostałem z jedną rodziną kazachską, a moja rodzina została w "karabałaku". Razem z siostrą wysłano nas na orkę (pachtę), były to trzy woły zaprzęgnięte do pługa, ja byłem poganianym a siostra trzymała pług, zaprzęgów takich było dwanaście.

Gdy powstawała armia Andersa to oficerowie przyjechali tam i robili nabór do armii. Razem z bratem poszliśmy się zaciągnąć (100 km), lecz brat zachorował na febrę i niestety nie doszliśmy. W tym czasie do armii Andersa zabrana była hr. Kossakowska, a reszta została. Jak armia Andersa wyszła z Rosji to Polacy Byli prześladowani. Obowiązkowo musieli podpisywać obywatelstwo rosyjskie, kto nie podpisał szedł do więzienia. Jedna nauczycielka, p. Pawłowska za to, że nie chciała podpisać to siedziała w więzieniu. Jak Polacy wracali do kraju, to ci co podpisali musieli zostać.

W 1945 r. wiadomo było, że jest porozumienie rządu polskiego i rosyjskiego o powrocie Polaków do kraju. Mieliśmy wracać we wrześniu, lecz zaczęła się zima i musieliśmy zostać. to była najtragiczniejsza zima na przełomie grudnia i stycznia, matka zachorowała i zmarła z głodu. Kazachowie mieli proso, a łupiny dostawali Polacy. Tłukli to w morderczach i jedli. Właśnie od tego moja matka zmarła- dostała skrętu kiszek 3 stycznia pochowaliśmy matkę i w ten sposób zostaliśmy sami.

Na wiosnę 1946r. pognali Polaków na orkę. W końcu kwietnia, gdy wraz

z siostrą oralismy, przybiegł z farmy (12km.) jeden Polak i powiedział, że Polacy wracają do kraju. Zostawiliśmy wszystko i od razu poszliśmy na farmę. W maju poszliśmy pieszo do rejonu kujbyszewskiego, tam nie była stacja kolejowej, więc szliśmy wzdłuż Irtysza przez tydzień (200km.) Jak wyruszaliśmy chcieliśmy, aby przewodniczący sowchozu dał nam furmanki. Dostaliśmy jedną dla starców i na tobołki. UNRA dała nam ubranie, lecz na stacji w Pawłodarze je sprzedaliśmy za jedzenie, ponieważ nikt nam go nie dał. Przez cały czas powrotu do Polski, każdy sam musiał troszczyć się o jedzenie. W czasie powrotu każda rodzina miała po dwie cegiełki i przy każdym postoju rozpukało się ognie i na tych cegiełkach coś się gotowało. Nawet jak przejeżdżaliśmy przez Moskwę, to na dworcu każdy rozpukał ognie, aby zjeść coś na gorąco. Byliśmy sami i nie mieliśmy dokąd wracać. Siostra powiedziała, że jedziemy na ziemię odzyskaną i tam weźmiemy gospodarke. Brat się sprzeciwił, stwierdził, że będziemy się uczyć. Skierowano nas do punktu etapowego w Zboższynie dla sierot. Stamtąd kierowano nas do domów dziecka pod opieką sióstr zakonnych. Mimo tego, że nie byliśmy już dziećmi, mieliśmy sześć lat przerwy, byliśmy niedouczeni. Nas skierowano ze Zboższyna do Mielżyna koło Gniezna. Przybyliśmy tam w czerwcu podczas referendum "3 razy TAK". W Mielżynie zacząłem trzecią klasę jako siedemnastolatek, w ciągu roku skończyłem podstawówkę. Brat poszedł wcześniej do Gniezna do szkoły handlowej, gdzie po roku ściągnął mnie również do siebie do domu dziecka, gdzie przebywałem do 1951r. Tam ukończyłem gimnazjum handlowe, później Szkołę Oficerską.

Relację spisał M. Morzyszek.

Ryszard MICHAŁCZYK
ur. 11. XI. 1928r., Szczeczn
zam: 91-849 Łódź, ul. Kołomyjskiego 31 m 16, tel 34-46-17
Log: 56544